



To nie jest książka, nad którą przechodzi się, jak nad większością innych. To skarb. To pyszne świadectwo czasu. Dwa niesłychanie ważne elementy przyciągnęły mnie do niej i nie pozwoliły mi od niej się oderwać: to, jak bliska jest mi Polska Ludowa, i to jak ogromne znaczenie ma dla mnie literatura biograficzna, w tym autobiografistyka. Wycinki, fragmenty, epizody, chwile, ulotne wspomnienia, okruchy życia składają się na historię Polski a subiektywizm jest niezbędnym, oczywistym wymiarem pamiętnikarstwa – wymierającego obecnie gatunku literatury, jak trafnie ocenia go Andrzej Ziemiński.

Ileokroć ktokolwiek dobrze wspomina Polskę Ludową, malkontenci skrytykują go, twierdząc, że po prostu z sentymentem apologetyzuje swe młode lata, a przecież każdy woli widzieć się młodym niż star(sz)y. Rozumowanie wulgarne i prostackie, proszę nie mylić z prostym. Nie o to chodzi, że Autorzy wspomnień idealizują powojenną przeszłość, bo przypadają na nią lata ich dzieciństwa, młodości, szkoła, pierwsza miłość, ślub, rodzicielstwo, pierwsze mieszkanie, pierwsza praca – to byłoby zbyt oczywiste, zbyt trywialne. Przez pryzmat – owszem – swoich słodko-gorzkich doświadczeń albo sami doprowadzają do uogólnień, albo inspirują do tego czytelnika, który prawa dedukcji i indukcji opanował choćby w stopniu rudymmentarnym. Podkreśliłem fakt zmieszania w recenzowanych wspomnieniach słodyczy z goryczą po to, by uwydatnić prawdziwość, rzetelność, szczerłość tych tekstów. To nie są laurki. To nie są lukrowane bajdurzenia na wzór z gruntu fałszywych, bogoojczyźnianych bzdur o płynącej

mlekiem i miodem Polsce międzywojennej, fabrykowanych przez „historyków” z IPN oraz im podobnych koncesjonowanych przez totalitarną władzę karierowiczów. Z życia wzięte to książka dająca odpór IPN-owskiej makulaturze malującej obraz Polski Ludowej w wyłącznie czarnych barwach, a zarazem świadectwo prawdy. Niestychane, że dożyliśmy tak podłych czasów, w których danie świadectwa prawdy wiąże się ze sporym ryzykiem oraz jest wyrazem ogromnej odwagi, szlachetności i prawości, przeto wszystkim pleno titulo Autorom recenzowanych wspomnień dziękuję za nie z całego serca. Ja, wychowanek PRL, wytwór PRL, jak trafnie pisze o sobie na s. 101 R. H. Nowak.

Polska Ludowa to spełnienie marzeń wielu pokoleń proletariatu, to najpiękniejszy i szczytowy zarazem okres w historii Polski, po którego czasowym – oby – przerwaniu nadszedł wyniszczający, destruktywny regres. W latach 1944-1945 nastąpiły, jak pięknie pisze prof. Żanna Kormanowa, „upragnione narodziny Polski sprawiedliwości społecznej, Polski bez wyzysku człowieka przez człowieka i klasy przez klasę”. W odpowiedzi na pytanie o przyczyny nienawistnego stosunku do Polski Ludowej ze strony burżuazyjno-klerykalnego państwa, jego aparatu propagandy a i pseudoopozycyjnych mediów prof. Maria Szyszkowska jak najtrafniej przypuszcza, że ma on „na celu odwrócenie uwagi od niegodziwości obecnego neoliberalizmu ekonomicznego, od potęgi koncernów skłaniających rządy państw do prowadzenia wojen, czyli zabijania człowieka, by osiągnąć szybki zysk”.

Niepojęte jest, by w państwie szanującym się i oczekującym szacunku od innych, a przy tym tak przesadnie podkreślającym przywiązanie do przeszłości, w tak bezprzykładnie ohydny sposób przeszłość tę fałszowano i szargano nią, opluwano bohaterów i szydzono z nich, nazywając ich zdrajcami, a przy tym zarządzając urzędowy kult bandytów, zbirów z NSZ czy WiN, słusznie na wieki wyklętych. Nie do pojęcia w liczącym się w świecie państwie jest tak rażące jak w Polsce urzędowo dekretowane przerywanie ciągłości państwowości, wyrażające się m.in. w pogardliwym, lekceważącym stosunku wobec osób piastujących onegdaj kierownicze stanowiska państwowe: jeśli mierny, przypadkowy, marionetkowy premier Morawiecki nie składa hołdu pamięci swojego zmarłego 1 lutego 2021 r. wybitnego poprzednika, premiera Edwarda Babiucha, w niczym nie umniejsza to wielkości Prezesa Rady Ministrów w roku 1980, lecz jak najgorzej świadczy o jego nieudolnie urzędującym dziś czy udającym urzędowanie następcy.

Zanim przejdę do komentowania kolejnych rozdziałów książki, dodam do sporej beczki miodu przynależnego recenzentowi oręża w postaci choćby łyżeczki dziegciu. Po pierwsze, pamiętać należy, że Polska Ludowa i Polska Rzeczpospolita Ludowa nie są to pojęcia tożsame: różni je dokładnie 8 lat, obie powstały bowiem 22 lipca, ale Polska Ludowa w 1944 r. a PRL w roku 1952. Po drugie, proponuję zrezygnować z deklinacji akronimu PRL: formy PRL-u, PRL-owi, PRL-em nacechowane są, w moim przekonaniu, pewną dozą czy to ironii czy pejoratywizmu. Po trzecie, wyrugujmy z codziennej leksyki pojęcie „komuna” na określenie ustroju 45 lat powojennej Polski (w książce występuje rzadko), w tym rażący, nieelegancki i kłamliwy zwrot „za komuny”, uwielbiany na antenie prorządowych i pozornie opozycyjnych stacji RTV (w książce go nie zauważyłem). Po czwarte i ostatnie, nie mogę nie odnotować licznych błędów językowych obecnych w ocenianym dziele, ze szczególnym uwzględnieniem potknięć interpunkcyjnych i równie irytujących nieprawidłowych postaci nazw własnych, tak rażących jak Wermacht, Igłopol, Ghandi, Franko, Mirzejewski, Manteufel.

Teksty Edwarda Baumgarta (Czy tylko kształcenie...?) i Mieczysława Dobrzańskiego (Patriotyczne czyny społeczeństwa polskiego) czyta się niejako na rozgrzewkę, przy czym ten drugi jest jednak ciekawszy, a protest Autora przeciw głupotom o rzekomym wojsku

polsko-ruskim jako synonimie Sił Zbrojnych PRL zasługuje na wszechstronne poparcie. Wspomnienia E. Baumgarta zainteresować mogą głównie narciarzy i osoby związane z OHP, są jednak wartościowym przyczynkiem do historii oświaty i wychowania w Polsce Ludowej, gdy szkoła naprawdę uczyła i wychowywała, różniąc się diametralnie od dzisiejszej bogobojnej, pogrążonej w ciemnogrodzie i nietolerancji szczujni. Igor Śmiałowski wspominał, jak w 1958 r. zwiedzał w Kanadzie zamożne domy i w żadnym nie napotkał choćby najmniejszej biblioteczki. Śmiem twierdzić, że „dzięki” wysiłkom takich tuzów intelektu jak Czarnek i Gliński doczekamy wkrótce podobnego stanu; z jednym wyjątkiem – żywoty świętych i „dzieła” bliźniaków Kaczyńskich trafią do polskich domów obowiązkowo.

Józef Frączek (Moje wspomnienia z okresu PRL) dotyka bardzo ważnej problematyki, w tym – jak plut. w st. spocz. M. Dobrzański – wojskowej. Niesamowicie ciekawie, celnie, światle pisze Autor i o eskalacji żądań solidarnościowej ekstremy w latach 1980-1981 i o kapitulanczkich nastrojach lat 1989-1990 i o istocie PRL, bo gdyby nie ona, „dalej byłbym zniewolony, wisząc u klamki bogatego kapitalisty (...) bez poczucia własnej wartości, w ciągłej bojaźni, strachu i niepewności” (s. 43). Czuję, myślę dokładnie tak samo. Jedna uwaga przez pryzmat mojej jawnej apostazji w klerykalnej rzeczywistości: nie rozumiem cichych kościelnych ślubów i chrztów nieświadomych tego dzieci dyktowanych wychowaniem w katolickiej rodzinie i przekonaniem, że „religię ojców trzeba uszanować” (s. 39), ale rozumiem, że za wyborem Autora i tysiący innych osób legły ważne względy. Sam nie mógłbym tak uczynić. Poza tą jedną różnicą zdań w pełni popieram opinie Autora, w tym co do potrzeby pociągnięcia do odpowiedzialności dygnitarzy winnych zniszczenia Polski, naszej Polski, i zantagonizowania jej społeczeństwa.

Przed skierowaniem w tej sprawie wniosku do Trybunału Stanu mocno jednak ppłk. w st. spocz. dr. J. Frączka przestrzegam, albowiem całym swoim rosnącym w pasie obwodem rozsiadł się tam mój były student, znany z absolutnej, bezprzykładnej nieznamomości prawa i pełnej, całodobowej gotowości na spełnianie zachcianek PiS-u: bierność, mierność i wierność, czyli wymarzony przez reżim wzór posłusznego bez reszty lizusa, kujona, profesora i sędziego, wyhodowany od maleńkości. Ppłk Frączek pisze przejmująco tak: „ataki wścieklej prawicy na ludzi z tego okresu oraz na wszystko, co związane jest [z] PRL (...), to zamach na mnie i na ludzi mego pokolenia. To zabijanie naszych wartości i własnego <JA>. A tą najwyższą wartością jest człowiek, jego dobro i szczęście” (s. 43). Panie Pułkowniku, Obywatelu Pułkowniku, proszę pozwolić, że szeregowy Kijowski odda Panu honory i podziękuje za te słowa, podpisze się pod nimi jak pod swoimi.

Opowieść Wacława Hetmana (Urywki z życia...) nie tyle jest wielowątkowa, co rozwlekła i nieco nudna, przeczytałem ją jednak uważnie i skrupulatnie. Zanim wskażę na niewątpliwe plusy dywagacji pabianiczana, nie mogę nie wypunktować obniżających ich rangę rażących minusów. Zupełnie niepotrzebnie znaczna część wspomnień dotyczy niepokrywającego się z tytułem książki okresu od 1990 r., zapoznałem się jednak z nią z zainteresowaniem i w pełni podzielałem rozważania dotyczące PPS, za komentarz zaś do opowieści o SdRP i SLD niech posłużą poniższe słowa odnoszące się do wspomnień R. H. Nowaka. Fetyszyzowanie więzi rodzinnych to pewnie subiektywna cecha W. Hetmana, mógłby jednak oszczędzić Czytelnikom opowieści o tym, że dziadek żony Mikołaj był abnegatem, żona nie lubi(ła) gry na pianinie a młodsza córka przystała do świadków Jehowy, co zdaniem Autora ma być jakoby wyrazem nietypowej religijności – dlaczego nietypowej, nie wiem, według mnie bowiem jehowici z jednej, a katolicy z innej strony, czyli wyznawcy sekt najbardziej destrukcyjnych stanowią kliniczne przypadki typowych szkód i krzywd wyrządzanych człowiekowi przez religię i wiarę. Okropną

manierą Autora jest podawanie jedynie imion i inicjałów nazwisk wielu, wielu osób, co zarazem trąci niegrzecznością, jak i może sugerować, że toczy się przeciwko nim postępowanie karne; jest w tym skądinąd zabawnie niekonsekwentny, pisząc zarazem o Leszku M. i L. Malińskim. Bardzo mocno myli się W. Hetman, akcentując, że to nie w Oświęcimiu lecz w Auschwitz hitlerowcy zlokalizowali straszliwy obóz koncentracyjny: Panie Hetman, po pierwsze, ciekaw jestem, czy równie ochoczo jak toponimu Auschwitz używa Pan takich nazw polskich miast jak Krakau, Tschenstochau bądź Litzmannstadt; po drugie, usytuowanie w Polsce miejsc zagłady przewidzianych głównie dla Żydów nie było przypadkiem: hitlerowcy doskonale orientowali się w poziomie nienawiści znacznej części Polaków wobec żydowskiej mniejszości narodowej – nienawiści podsycanej do dzisiaj przez klerofaszystów u władzy i w pseudoopozycji, a przecież PiS-u i Konfederacji – jak wnioskuję – chyba Pan nie cierpi i życzy im jak najgorzej, dokładnie tak jak ja. Stwierdzenie, że „jakaś kultura była do miejsc pracy podczepiona” (s. 52) jest zrozumiałe, ale brzmi jak zgrzytliwe drapanie żelaznym prętem o szkło: przerażająco; nie mogę pojąć, dlaczego praca fizyczna sprawiała Autorowi przyjemność „sadystyczną” (s. 57): nad kim się znęcał, nie wyjaśnia bowiem. W pełni podzielam natomiast znaczną część opinii wyrażonych przez W. Hetmana, w tym m.in. o sponiewieraniu przez klerofaszystowską propagandę szlachetnych idei Święta Pracy i Międzynarodowego Dnia Kobiet oraz pamięci należytym walczącym za wolność hiszpańskiego ludu dąbrowszczakom, o miłośności pisaniny Miłosza, Giedroycia czy innych grafomanów z kręgu literackiej emigracji i krajowego drugiego obiegu, o szczątkowej w porównaniu z dzisiejszą PRL-owskiej biurokracji (wszak Lenin mawiał, że to ona jest największym wewnętrznym wrogiem radzieckiego państwa!), o wybitności postaci Leopolda Petrzyka CM (dodam tylko, że to on właśnie 17 października 1945 r. w Żelazowej Woli przekazał serce Chopina prezydentowi Bolesławowi Bierutowi). Ma rację W. Hetman, gdy twierdzi, że „wolny kraj”, w którym jemu i mnie przyszło żyć od ponad 30 lat, wolny jest „w jakże wielu dziedzinach od zdrowego rozsądku” (s. 53); znakomite to określenie świetnie koresponduje z wyśmiewanym przeze mnie od lat pojęciowym a kompletnie bezsensownym wytrychem „wolna Polska”. Panie Waclawie, proszę nie obrażać się za zbytnią familiarność, dyktuje mi ją jednak głębokie wzruszenie, po przeczytaniu słów: „do dziś nie wstydzę się swej aktywności społeczno-zawodowej w tamtych czasach i nie wypieram swej przynależności do partii” (s. 60). Chciałbym bardzo uścisnąć Pana dłoń, by wyrazić wdzięczność i szacunek za te słowa, pod którymi i ja gotów jestem się podpisać. Aktywności w latach PRL (a wcześniej rozpoczętej, bo do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej wstąpiłem w wieku 10 lat) i przynależności do PZPR nie wstydzę się, nie wypieram się ich; co więcej, jestem z tego dumny. Okruchy życia Wiesława Maleskiego to tekst ciekawy, ale w znacznej części niepokrywający się z czasowymi ramami wynikającymi z tytułu recenzowanego zbioru. Warto jednak zawsze pisać o zbrodniach faszystów, konsekwentna polityka prowadzona przez burżuazyjne polskie reżimy od ponad 30 lat prowadzi bowiem do zacierania pamięci o bezmiarze cierpień jakich Polacy doznali z rąk bandytów spod znaku swastyki czy tryzuba. Także aktualny PiS-owski dyktator i posłuszni mu propagandziści nakazują wybaczyć Niemcom, Ukraińcom, Litwinom, nakazują pojednać się z nimi. Jakże to podłe, haniebne, ohydne! Gdybym miał Ukraińcom, Niemcom czy Litwinom przebaczyć, gdybym miał się z nimi pojednać, zbratać, nie mógłbym nazywać się Polakiem. Bratanie się ze spadkobiercami zbrodniarzy to niegodziwość, łotrostwo, kłamstwo, chamstwo i draństwo, to zdrada ofiar faszystowskich okrutnych zbrodni: dał temu początek przestraszony Mazowiecki, gdy wtulił się podczas jakiejś tam mszy w niedźwiedziowate objęcia Kohla i odtąd hitlerowskie zbrodnie – o jednym z rodzajów zabijania „w niemiecki sposób” pisze

W. Sokoła na s. 127 – zaczęto minimalizować, rozmywać, rozwadniać, wyszukując jakichś „dobrych” Niemców w rodzaju Schindlera, Stauffenberga, Schimka, akcentując zaś z neoficką nadgorliwością cierpienia poniesione podczas zaistniałej jakoby radzieckiej okupacji w Polsce. Wstrętne, śmierzzące jest niezauważanie odradzającego się kultu faszyzmu na Litwie i Ukrainie, to okazywanie pogardy prochom poległych w Polsce radzieckich wyzwolicieli, to utylitarne posługiwanie się faszyzmem w budowaniu brudnego, brunatnego sojuszu z Kijowem czy Wilnem służącego eskalacji podsycanej przez reżim PiS-u agresji przeciw niezmiennie antyfaszystowskiemu Moskwie i Mińskowi. Wiadomo, imperializm i faszyzm zawsze idą w parze, a faszyzacja dzieci i młodzieży prowadzona przez tępego urzędasza Czarnka (idealne połączenie służalczości, beztalencja i nadwagi) wraz ze skutecznym utrudnianiem przezeń szczepień najmłodszych i zaganianiem ich siłą do szkół będących siedliskami wirusa przynosi piorunujące i okrutne rezultaty. Trudno by było inaczej, skoro panuje rozmodlony kapitalizm (religia i bogactwo nie mogą bez siebie istnieć, skoro „za pieniądze ksiądz się modli”), który socjalistyczny awans społeczny zastąpił drobnomieszczańskim dorobkiewiczostwem, a w miejsce międzyludzkich więzi zaprowadził wrogość, zawiść, podejrzliwość. Zaprowadził podłość.

Krystyna Narwicz (Wspomnienia bardzo osobiste) pisze mądrze, trafnie, przejmująco o bezsensownych sądach na temat Polski Ludowej i zbrodni, za które nikt nie przeprosił i przeproszać nie ma zamiaru, popełnionych przez tych tam wyklętych, ponoć „żołnierzy”, a w rzeczywistości bandziorów. To jeden z dwóch najlepszych tekstów w tym zbiorze (oba najwyżej przeze mnie ocenione napisały kobiety). Ma Pani rację, Pani Doktor, w Polsce Ludowej ludzie byli sobie bliżsi, dzisiaj jeden boi się drugiego. Zgadza się z Panią – zmartwychwstał drobnomieszczański kołtun. Ma Pani też rację, pisząc, że to dzięki Polsce socjalistycznej szacunkiem otoczono człowieka nie za „jego pochodzenie, urodzenie czy stan posiadania”, ale „za to, jakim jest, co sobą reprezentuje, co zrobił dla społeczeństwa” (s. 96). Kapitalne jest rozważanie dr Narwicz o tym, co Polska Ludowa jej „zabrała”: jako że pochodzi z nauczycielsko-lekarskiej rodziny, miała „z automatu”, jak trafnie pisze, zagwarantowaną pozycję społeczną i towarzyską, tymczasem w Polsce Ludowej musiała na nią zapracować, przez co nikt nie odnosi się do niej z wymuszonym szacunkiem tylko za to, czyją jest córką, wnuczką itp., lecz za to, co sama osiągnęła; zarazem, co podkreśla, Polska Ludowa, dała szansę społecznego awansu tym, którzy w latach międzywojennych nie mogli nawet marzyć o wykształceniu, o dobrej pracy, o równym starcie dla wszystkich klas.

Myślę tak samo i cenię w sobie to, co sam bez niczyjej pomocy osiągnąłem, co zawdzięczam wyłącznie sobie i mojej Ojczyźnie – Polsce Ludowej, a nie to, czym jestem dzieckiem, również dlatego, że z ojcem nic mnie nie łączy prócz nazwiska. Nie zgadzam się tylko z porównaniem jakiejś lichej piosenki komedianta Pietrzaka z arcydziełami literatury i muzyki (w latach 1944-1989 powstały setki dzieł o niebo wybitniejszych niż ta prymitywna rymowanka z warstwą dźwiękową niegodną muzykologicznej analizy, na której trochę się znam) oraz stwierdzeniem, że działalność charytatywna i wolontariat są szczytkową postacią fraternité, braterstwa (wolontariat to tylko popłuczyna po Niewidzialnej Ręce, a charytatywne zrywy to przejaw moralnej szpetoty kapitalizmu – znów określenie Ż. Kormanowej, to łaskawy chleb rzucony tym, którym powiodło się gorzej, przez tych, którym niczego nie brakuje choćby i dlatego, że fortuny zbudowali na oszustwie, na kradzieży i/lub sprzyjają klerofaszystowskiemu reżimowi – jak inaczej ocenić „dobroczynne” bale, na których rechoczące, roześmiane, uchachane swym dobrobytem groszoroby, nuworysze odziani w szmaty za kilka(naście) tysięcy złotych, podrygują bezmyślnie na parkiecie pod pretekstem wspierania ubogich choćby w postaci loterii

fantowej czy innej tomboli?).

Wspomnieniowy esej Ryszarda Henryka Nowaka Kochałem i kocham mój kraj... pozostawiłem na koniec mojej lektury. Na pewno z powodu egzaltowanego tytułu, emfazy bowiem i patosu nie cierpię. Ale i dlatego, że – jak Autor – kraj mój kochałem lecz tego kraju nie kocham, to już nie jest moja Polska, mojej Polski już nie ma, to jest tylko „ten kraj”, nic ponad to, nic więcej. Nie jestem już patriotą i nic mnie nie przekona, że ten skrawek Europy zasługuje pod władzą ciemnogrodu na miano najjaśniejszej Rzeczypospolitej. W pamiętnym roku 1968 mądry Władysław Machejek, coraz mi bliższy, napisał niezmiennie aktualne słowa: „[n]ie ma jednoznacznego patriotyzmu w narodzie wyraźnie podzielonym na biednych i bogatych”. Tak, kapitalizm wyklucza patriotyzm, a tylko przez socjalizm zagwarantowana „[r]ówność tworzy spoisty naród” (ten sam niezrównany Machejek), przeto hurrapatriotyczne jadowite, judzące i nienawistne wobec inaczej myślących haselka o jednoznacznie szowinistycznym wydźwięku głoszą dziś ci, którym się w kapitalistycznej Polsce znakomicie powodzi, jak faszystowska ciemnota spod znaku Konfederacji, Strzelca, Marszu Niepodległości czy „biznesmena” Obajtka, któremu PiS-owska Polska płaci za patriotyzm ciężkie miliony z moich i Państwa podatków. Tytuł dramatu Haliny Auderskiej Rzeczpospolita zapłaci jest dla dolce vita całej armii Obajtków i piastunów lukratywnych synekur w radach nadzorczych równie adekwatny jak Komu się na Rusi dobrze dzieje Nikołaja Niekrasowa. To Tusk, Kaczyńscy, Krzaklewski, Balcerowicz, Szydło, Olszewski, Wałęsa, Morawiecki, Buzek, Bielecki i im podobni sładzy złej sprawy zniszczyli Polskę doszczętnie, zdeptali to co najcenniejsze, wyprzedali bezcenny majątek, spaśli nim siebie, swoje rodzinki i swoich koleśków, sprawili, że ja i tysiące innych poczuło się nad Wisłą i Odrą jak obcy, niechciani, odrzuceni, niepotrzebni. Ale wspomniani wyżej solidarnościowi karierowicze nie mogli sprawić mi zawodu, od zawsze bowiem, jeszcze gdy knuli przeciwko Ludowej Ojczyźnie, byli wrogami uczciwej pracy, miłośnikami łatwego zarobku na cudzej krzywdzie i wielbicielami bratania się z wykorzystującymi ich bezmyślność burżuazyjno-klerykalnymi mocodawcami po obu stronach Atlantyku.

Zawiedli mnie Kwaśniewski, Miller i rzesza SLD-owskich budowniczych oportunistycznych karier: onegdaj członkowie tej samej partii, do której ja przystąpiłem w 1988 r., nieszczerzy illo tempore głosiciele marksistowskiego światopoglądu, który porzucili, plując na swój niemały w służbie PRL i PZPR dorobek, podczas gdy ja jestem mu wierny, idąc pod prąd, narażając się na niełatwy los, a to „droga prosta, nie kręta, idę z głową podniesioną, ja się nie płaszczę i idę szczęśliwy”, jak pięknie pisał Konstanty Graeser.

Zawiedli mnie SLD-owscy prominenci i ich wódz? To za mało powiedziane. Nie tylko mnie i nie tyle zawiedli, co zdradzili w nie mniejszym stopniu niż podobny im koniunkturalista, oportunist i konformista Piotrowicz, który wraz z nimi należał do tej samej partii co ja. To SLD-owscy renegaci wsparli bez cienia refleksji nieludzką agresję państw NATO na obszar dawnej Jugosławii (świetnie pisze o tym W. Hetman), to oni doprowadzili do zbrodni w postaci ustanowienia w Polsce tajnych więzień CIA, to oni skwapliwie zaakceptowali fakt finansowania i inspirowania przez tę antypolską strukturę solidarnościowego antypaństwowego bratobójczego oporu lat 1980-1989. Skutecznego, gdyż amerykański imperializm nie zniesie, by jakiegokolwiek państwo rządziło się inaczej niż zawarto w amerykańskich wzorcach, by nie kłaniało się Chrystusowi i mamonie, by nie zawierzyło bez reszty złudom nieludzkiego kapitalizmu. Przecież dlatego klerofaszystowski reżim w Warszawie z bezprzykładną nienawiścią jątrzył przeciw Rosji i Białorusi, a „lewica” skompromitowanego wspieraniem PiS-u Czarzastego oraz rzekomo „wolne” media z TVN24 i Tok FM na czele przyklaskują jak rechoczący klakierzy tym wstrętnym, chorym działaniami, jako żywo przypominającym antystowiańskie knucie Hitlera.

Wstydzę się za was, rzekomo opozycyjni „politycy” i „dziennikarze”, faktyczne narzędzia imperialistycznej intrygi. Z byłem sekretarzem Komitetu Gminnego PZPR w Korfantowie R. H. Nowakiem łączy mnie nie tylko przynależność do wspólnej partii, ale i socjalistycznych związków młodzieży (on do ZHP, ZMW i ZSMP, ja do ZSMP i ZSP), oraz studia w Akademii Nauk Społecznych PZPR. Drażni mnie w jego wartkiej opowieści używanie określenia „komuna”, fascynuje natomiast relacja ze spotkania podporucznika, najniższego stopniem oficera rozpuźdzonej Służby Bezpieczeństwa z generałem armii, najwyższym stopniem oficerem Wojska Polskiego, prezydentem RP Wojciechem Jaruzelskim, pyszny to bowiem, kapitalny przyczynek do badań nad osobowością jednego z najwybitniejszych Polaków w historii, tak znienawidzonego przez burżuazyjno-klerykalnych niegodziwców generała, a zarazem trudne do pojęcia w roku 2021, że 31 lat wcześniej obywatel mógł liczyć na ponadgodzinną rozmowę z głową swojego państwa.

Skoro o państwie mowa, z uwagą przeczytałem słowa Autora o tym, że nie bardzo identyfikuje się z obecnym państwem (s. 125); gotów byłbym podpisać się pod nimi, gdyby nie to, że ja z tym państwem nie identyfikuję się w najmniejszym stopniu – okazując mi wzdargę na każdym kroku, stało się dla mnie nie tylko wrogiem, ale – co gorsze – strukturą najzupełniej obcą. Swołocz, byle bogata i choćby na pokaz wierząca, ale tępą i słuźalcza, wspierana jest przez nie i bliższa mu niż tępiony inteligent skromny, niepokorny, antyreligijny.

Włodzimierz Sokoła, były sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Tarnobrzegu spisał wspomnienia pod znaczącym, mądrym tytułem Ludzkie oblicze PRL, zrozumiałem chyba tylko dla tych, którzy w latach 1952-1989 spędzili znaczną część życia lub choćby wkroczyli w dorosłość, i dla tych młodych, którzy obronili się własną mądrością i konspiracyjnym samokształceniem przed toporną czarnkową indoktrynacją. Ogromnie interesująco pisze Autor o polityce rolnej Polski Ludowej, obserwowanej przezeń na różnych etapach i z różnych punktów widzenia, a nieodparcie sugerującej druzgocące porównanie z żalonym traktowaniem wsi, rolników i rolnictwa przez upojoną rządem obecną klikę. Bardzo ciekawie kreśli W. Sokoła szkice do portretów Edwarda Gierka, Józefa Tejchmy, Władysława Matwina, Edwarda Brzostowskiego – postaci naprawdę wielkiego formatu.

Krytykuje bezlitośnie – przyłączam się! – bezsens nazwania pryncypialnego wrocławskiego placu i węzła przesiadkowego imieniem niejakiego Reagana, westernowej aktorki trzeciego planu, przypadkowego prezydenta USA, który uparł się, że zaszkodzi Polsce i Polakom bardziej niż którykolwiek z jego poprzedników i sukcesorów. Świetnie rozplanowuje Autor akcenty swojej refleksji o poznańskim czerwcu 1956 – dużo mniej istotnym niż rychły Październik, a obserwowanym przezeń osobiście, przeżywanym empirycznie: ma absolutną rację, pisząc, że postulaty demonstrantów miały charakter ekonomiczny, płacowy i wcale nie objęły całej załogi strajkującej fabryki, a warstwę polityczną (religijną też) oraz tezę o jednomyślności robotników dorobili post factum i par force zimni manipulanci.

Wielkim walorem tekstu sekretarza Sokoły jest pochylenie się nad ogromną zdobyczą Polski Ludowej – równością szans dla wszystkich na etapie rozpoczynania czy to edukacji czy pracy, co szczególnie ważne było dla osób niezamożnych, które w innym systemie społeczno-politycznym mogłyby o studiach, o dobrej pracy, o mieszkaniu co najwyżej pomarzyć. Co jeszcze wzrusza mnie i porusza w tym szczerym i mądrym wspomnieniu? Na pewno odniesienie do pracy jako najwyższej wartości i godności człowieka, co – jak trafnie i gorzko pisze Autor – wywołuje dziś „pusty śmiech” (s. 135). Na pewno skwitowane przezeń – też tak sędzę – uznanie dziś za absurdalne napływających do szkół wyższych zapotrzebowań na ich absolwentów ze strony zakładów pracy (s. 133). Na pewno, i podkreślam to mocno w

kontekście mojej oceny solidarnościowych bonzów zawartej w recenzji tekstu R. H. Nowaka, poparte bogatym i nietrywialnym życiowym doświadczeniem przywołanie przez W. Sokołę sylwetek kilku nieudaczników, leni, nierobów, pasożytów, którzy zwolnieni zostali w PRL z kierowniczych stanowisk za oczywiste zaniedbania, a w roku 1989 i później wylali swe żale przed całym światem, opowiadając o ich prześladowaniu przez partię, co uczynili tak skutecznie, że stali się pseudointelektualną kadrą „Solidarności” i jej agend niszczących Polskę do dziś; jeden ze wspomnianych przez Autora nepteków został posłem a inny brakorób senatorem (s. 146, 147, 150, 153). Nic dodać, nic ująć. Jeśli dodać, to jedynie drobną poprawkę biograficzną: zastępcą przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów był Bolesław Strużek (u W. Sokoły ma na imię Stefan i jest wiceprzewodniczącym PKPG).

Józef Wasilewski (Wspomnienia) odwołuje się do detalicznie opowiadanych wydarzeń sprzed wyzwolenia, co jest zbędne, wykracza bowiem poza tytuł książki. Tekst ten zbyt jednak jest wartościowy, by skwitować go tylko chłodną, beznamiętną uwagą. Ogromnie pouczające są jego (podobnie jak W. Hetmana) rozważania o rzekomej biurokracji w PRL oparte o wzgląd na trzyosobowy (!) skład pracowniczy Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Żubrzynie. W pełni zgadzam się ze słowami J. Wasilewskiego o zbrodniczym przedsięwzięciu znanym jako Wolność i Niezawisłość, o przerażającej okrucieństwem wobec własnych otumanionych rodaków decyzji o wywołaniu powstania warszawskiego, o bezsensownym, wzorowanym na hitlerowskich zapaleńcach spod znaku jednej z odmian krzyża zwanej swastyką prymitywnym, wulgarnym szale zmian nazw ulic, placów, rond, o znaczeniu Polski Ludowej dla bezpłatnego wykształcenia jej młodych obywateli, o odbudowie Warszawy, która zachwyciła i zdumiała zmurszały świat, niezdolny do tak szlachetnych porywów. Po co duchownym majątki, pytam wraz z J. Wasilewskim, i nawet nie oczekuję odpowiedzi od klerofaszystowskiej klikki, która sojusz tronu z ołtarzem przyjęła za podstawę swojej despotycznej władzy – mam nadzieję, że alians ten zaszkodzi zarówno tronowi, jak i ołtarzowi, obu równie mi wrogim, równie przeze mnie znienawidzonym i godnym jednakiej mej pogardy.

Wspomnienia Ireny Zabrodzkiej to tekst ostatni, najkrótszy, jeden z dwóch najlepszych i najbardziej według mnie wzruszający, ujmujący. W ogromnej mierze dlatego, że dotyczy tak bliskiego memu sercu Gdańska, którego wojenne zniszczenia ujmuje Autorka – nomen omen artystka plastik – plastycznie, obrazowo, na przekór tym wszystkim, którzy – nie wyłączając zamordowanego z niewątpliwej inspiracji klerofaszystów, sympatycznego choć ideowo pogubionego Pawła Adamowicza – głoszą wszem i wobec fałszywą tezę o Gdańsku jako mieście wolności, „Solidarności”, wszystkiego co od socjalizmu i komunizmu najdalej. Nafaszerowana tymi bzdurami młodzież, szczerze wypełniająca czy to Długi Targ czy modną Wyspę Spichrzów, ani przez chwilę nie zastanawia się nad tym, że to Polska Ludowa odbudowała przepiękny Gdańsk ze zniszczeń przepotężnych, zadanych mu przez hitlerowskich zbrodniarzy.

Gdańsk podziwiam, szanuję i lubię; tym bardziej jestem zażenowany – ośmielam się twierdzić, że I. Zabrodzka podziela moje zdanie – przesadą, przerysowaniem w akcentowaniu niemieckiej przeszłości tego miasta przy jednoczesnym przemilczaniu prawdy o jego powojennych latach, o chwalebnym powrocie do Macierzy, o trudzie odbudowy tak kunsztownej, że idąc po raz n-ty Głównym Miastem zadzieram głowę i za każdym, naprawdę każdym razem odnajduję nowy detal, sztukaterię, malunek, których nie zauważyłem rok czy dwa lata wcześniej. To Polska Ludowa, Ludowa, Ludowa, a nie żadna inna zachwyciła, zauroczyła świat arcydziełami architektury, rekonstrukcji i renowacji. Są w słowach I. Zabrodzkiej, w wieńczących jej tekst ostatnich dwóch akapitach takie sformułowania, podczas czytania których wzruszyłem się –

proszę mi wierzyć – do łez, pod którymi gotów jestem podpisać się w każdej chwili i którymi zakończę recenzję jej wspomnień jako mottem przewrotnie postawionym nie in principio lecz in fine.

Po pierwsze, pisze Pani Irena (przepraszam za poufałość wobec nieznannej mi osoby, która stała się jednak tak mi bliska), że jest dłużniczką Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i że ten dług spłaci – tak, ja też jestem dłużnikiem mojej jedynej, nieistniejącej już Ludowej Ojczyzny i dług ten staram się spłacać od lat każdym słowem, którym władam jako człowiek pióra, czy go jednak kiedykolwiek spłacę, wątpię, jest bowiem ogromny. Po drugie, tak pisze Pani Irena: „wierzę (...) w powrót socjalizmu. To mi dodaje sił do życia w obecnej rzeczywistości”. Ja nie wierzę, że socjalizm powróci, w nic bowiem i nikomu nie wierzę, ja jestem przekonany, że on powróci, że sprawiedliwość społeczna zwycięży, przegoni, rozdepcze burżuazyjne plugastwo, wyzysk, ucisk, władzę kleru i jego sługusów, kult pieniądza i urojonych nadprzyrodzonych stworów wielbionych przez dewocję, blichtr wysługujących się klerofaszystom celebrytów, że zburzy pomniki bandytów a wzniesie je bohaterom, a ci, którzy odpowiedzialni są za krzywdę zadaną społeczeństwu, fabrykowanie historii, wzniecanie nieprzyjaźni do rosyjskich i białoruskich braci, zawłaszczanie pieniędzy z budżetu państwa, synekury dla krewnych (polityka prorodzinna) i znajomków w radach nadzorczych, fizyczną eliminację naiwnych politycznych przeciwników (jak Andrzeja Leppera) i nieostrożnych depozytariuszy szokujących sekretów (jak Dawida Kosteckiego), opłacanie rodzenia dzieci z kieszeni podatników, śmierć każdej z ponad 75.300 ofiar epidemii, machinacje z maseczkami, respiratorami i szczepionkami, za epidemię koronawirusa: największą traumę, smutę, tragedię Polski i Polaków po II wojnie światowej – poniosą prawem i sprawiedliwością wymierzoną zasłużoną a surową karę. Wdzięczność dla Polski Ludowej i szacunek dla jej zdobywczy, wieczna chwała dla polskich i radzieckich wyzwolicieli naszej ziemi, nienawiść do panującego totalitarnego, klerofaszystowskiego reżimu oraz przekonanie o oczywistym powrocie socjalizmu jeśli nie za mojego życia, to za następnych pokoleń, pozwalają mi przeżywać tę opresyjną, wstrętą, nieludzką, PiS-owską i epidemiczną rzeczywistość, oczekiwać na dzień, w którym socjalizm i internacjonalizm trwale wstąpią w miejsce nacjonalizmu, klerykalizmu, kapitalizmu, faszystu i antysemityzmu.

Przekonanie o nieuchronnej restytucji socjalizmu buduję na obiektywnej zmienności kart historii, a przez to oczywistości upadku nieludzkiego już rozsypującego się kapitalizmu, oraz na niewzruszoności tkwiących w Polakach zdobywczy Polski Ludowej (awans społeczny miejskiego i wiejskiego proletariatu, zniesienie klasowych nierówności, koniec z dzieleniem Polaków na „panów” i „chamów”, powszechność kultury, oświaty i służby zdrowia, sekularyzacja państwa i stosunków międzyludzkich, likwidacja analfabetyzmu, nowoczesne budownictwo, postęp techniczny w każdej dziedzinie, rozkwit spółdzielczości itd.), dzięki którym powrót do mroków wpatrzonych w Hitlera sanacji jest mimo wysiłków PiS-owskiej kliki niemożliwy. Spójrzcie, Drodzy Czytelnicy, jak zafascynowana hitlerowskimi wzorcami katolicka dyktatura selektywnie i chorobliwie ambiwalentnie gra migracyjną kartą, w tych samych dniach lękliwie i w pośpiechu sprowadzając do Polski za wyciągnięte od podatników pieniądze skompromitowanych afgańskich kolaborantów, zdrajców po prostu, a zarazem odmawiając prawa pobytu w Polsce spragnionym, głodnym i chorym uchodźcom koczującym w nieludzkich warunkach na granicy z przyjazną ich ciężkiemu losowi Białorusią. Polskie wojsko stawia dwupółmetrowy płot, który ma odgradzić Polskę od potrzebujących pomocy. A zbudujcie wyższy, choćby i do nieba. I ten Pałac Saski też, koniecznie, większy niż był, bieluteńki, śliczniuteńki, pilnie strzeżony przed szarymi ludźmi, na własną chwałę go wzniesicie, na chwałę warczących wielkorządców,

pyszałków, krętaczy. Stan wyjątkowy sobie wprowadzacie, ale przeciw Białorusi, nie przeciw epidemii. To nikczemność, to hańba! Gorzej być już nie może. Może być tylko lepiej, choćby i za sto lat. Będzie.

Dziękuję za tę książkę. Każde jej słowo cenniejsze jest od łyku chłodnej wody w upalny dzień. Choćby i z literówkami, potknięciami, błędami. Nie w tym rzecz, by nie popełniać błędów (właściwe jest to tylko nierobom, zerom, leniom) lecz błędzić i błędy swe poprawiać, do błędów się przyznawać, wstręt budzi natomiast świadome trwanie w błędzie i narzucanie innym przekonania, że posiadało się monopol na prawdę w każdej dziedzinie, czyli to co czynią wrogowie ludu i demokracji zrzeszeni w PiS-ie, Konfederacji i im podobnych przestępczych grupach. Do czasu. Do czasu!

„Za ostatni grosz kupię dziś chociaż cień dawnych dni”. Tamtych pięknych dni, pięknych czasów. Chwała Polsce Ludowej.

dr Maciej Kijowski

PS1. Pamięci bestialsko torturowanego i zamordowanego przez niemieckich zbrodniarzy bohatera walk z hitlerowskim faszyzmem gen. bryg. Aleksandra Waszkiewicza (1901-1945) w 120. rocznicę urodzin.

Pamięci Premiera Edwarda Babiucha (1927-2021)

PS2. Czytam Bołdyna Jerzego Putramenta. Czy takie arcydzieło mogłoby powstać w Polsce innej niż Ludowa?

Z życia wzięte. Pamiętniki z lat Polski Ludowej, redakcja merytoryczna Krystyna Narwicz, Mirosław Nizielski, opracowanie redakcyjne Andrzej Ziemiński, Porozumienie Socjalistów, Warszawa 2021.